

pochodząca z Francji, była nauczycielką. Dzieciństwo spędził na Wołyniu, gdzie jego ojciec pracował w folwarku Młynów, należącym do rodziny Chodkiewiczów. Uczył się w domu. W 1938 roku rozpoczął naukę w VI klasie tzw. ćwiczeniówki przy Liceum Krzemienieckim, a w 1939 zdał egzamin do tegoż Liceum. Po wybuchu II wojny światowej wyjechał z matką i siostrą Teresą Marią do Francji. Wysłany do schroniska polskiego na południu Francji, uczęszczał do polskiego Gimnazjum i Liceum im. Cypriana Norwida w Villard de Lans, gdzie w 1945 roku zdał maturę. Następnie podjął studia romanistyczne i polonistyczne na uniwersytecie w Lille. W czasie studiów działał w kole naukowym i publikował artykuły w prasie studenckiej.

„Matka moja jako osiemnastoletnia dziewczyna tuż po maturze przyjechała na Podole, gdzie przyjęła pracę guwernantki, aby w czasie wakacji zarobić sobie trochę pieniędzy – mówił Jerzy Lisowski w rozmowie z Krystyną Nastulanką dla „Polityki” 1972, nr 5. – Był rok 1914, wybuchła wojna, matka wyszła za mąż i została w Polsce. Ja urodziłem się wprawdzie w Paryżu, w czasie dwumiesięcznego pobytu matki u rodziny, ale potem znowu wróciliśmy do Polski i całe moje dzieciństwo upłynęło w kraju. Do drugiego roku życia mówiłem po francusku, ale w momencie, kiedy udało mi się wymówić poprawnie «r», przerzuciłem się zdecydowanie na polszczyznę. I to tak dalece, że gdy w 1940 r. wyjeżdżaliśmy z matką i siostrą do Francji, nie umiałem słowa po francusku. Uczyłem się więc tego języka niejako od początku, najpierw w podstawowej szkole francuskiej, a potem w gimnazjum polskim, gdzie jednakże język francuski traktowany był równorzędnie i stał na bardzo wysokim poziomie”.

Już sama ta polsko-francuska genealogia, z domieszką ukraińskości, musiała być dla Iwaszkiewicza nader atrakcyjna. Skamandryta postrzegał Lisowskiego jako kogoś bliskiego mu duchowo, z kim łączy go młodość spędzona na ukraińskiej ziemi, a kto potem zanurzył się w żywioł mowy

francuskiej, będąc zarazem najsilniej przywiązany do kultury polskiej. Z pewnością nie mniej pociągające były dla Iwaszkiewicza błyskotliwa inteligencja i męski urok młodego Lisowskiego, będącego po trosze ucieleśnieniem dwu marzeń pisarza: cieszyć się przyjaźnią człowieka, który miałby głęboko przyswojone różnorodne kody kulturowe; znaleźć taki punkt na mapie świata, który starczyłby za wszystkie inne.

Kto z czytelników *Dzienników* Jarosława Iwaszkiewicza nie wpada w irytację, gdy co kilka stron widzi narzekania autora, który goszcząc w Palermo chce być w Rzymie, dotarłszy do Rzymu marzy o Paryżu, bawiąc w Paryżu tęskni za Stawiskiem, a wróciwszy na Stawisko chce wyjechać do Palermo? To, co na pierwszy rzut oka wygląda na kapryśność pieszczocha losu, przy wnikliwszym oglądzie odsłania swoją mniej oczywistą stronę.

Podobno niemiecki filozof Hegel, czytając jakąkolwiek książkę, bolał nad tym, że czyta właśnie tę, gdyż tym samym nie może czytać wszystkich innych. Z kolei Don Juan, trzymając w objęciach kobietę, z żalem myślał o tych wszystkich, których nie może w tym momencie pieścić. Nienasylenie Hegla i Don Juana pokrewne jest głodowi wrażeń Fausta, pragnącego wciąż nowych przygód i tak pewnego swojej nienasyconej żądzy doznań, która miała go uchronić przed zawołaniem: „Chwilo trwaj! Jesteś tak piękna!”, że podpisał cyrograf. Może więc owo pragnienie Iwaszkiewicza, by wciąż zmieniać miejsce pobytu, nie jest przejawem fanaberii, nie zawiera też w sobie sprzecznych chęci, lecz stanowi dążenie do osiągnięcia pełni. Właśnie słowo „pełnia” jest kluczem do zrozumienia zarówno osobowości Jarosława Iwaszkiewicza, jak i jego decyzji, moralności, przyjaźni, jego życia i twórczości. Dążenie do pełni oznacza w tym wypadku pragnienie bycia każdym i wszędzie jednocześnie, oznacza chęć bycia Brutusem, który zabija Cezara, i chęć bycia Cezarem zabijanym przez Brutusa. W granicach pełni te pragnienia nie wykluczają się nawzajem, nie są antynomiczne.

Już w pierwszym liście Iwaszkiewicza do Lisowskiego można znaleźć ową typową dla autora *Dionizji* pozorną sprzeczność, która dowodzi pełni niedbającej o zgodność logiczną: „Bardzo Cię przepraszam za krzyżyk nakreślony na twym czole na Gare de l’Est, ale mam zwyczaj obejmować tym gestem ludzi specjalnie mi drogich i złączonych ze mną specjalnie mocną nicią. [...] Siedzę w Pradze, nudzę się jak pies w studni i przenoszę się myślą bez przerwy do Paryża. Proponują mi czeskie papierosy, mówiąc, że są lepsze od francuskich, ale ja zapalam gauloise’y i dym ich tak od razu przenosi mnie na Bld St. Michel lub na ten most z Châtelet do Cité, gdzie doznałem nagle olśnienia szczęścia, rzecz prawie nieprawdopodobna w tych czasach – i w ogóle, ponieważ w szczęście nie wierzę! Ale miałem taki faustowski moment, wtedy, kiedy powiedziałem do Ciebie: patrz, czyż to nie impresjoniści! I nagle chciałem zawołać *«verweile»* – chwila była tak krótka, a tak zupełnie niezapomniana”.

Co to za człowiek, który kreśli na czyimś czole boski znak krzyża i jednocześnie gotów jest krzyknąć za Faustem: „*Verweile doch! du bist so schön!*” – oddając się tym samym w ręce diabła? Co to za człowiek, który mieści w sobie dyspozycję do świętości i potępienia? W stawiskim archiwum są setki listów od różnych osób, z których można by ułożyć arcydługą listę dziękczynców, ślących słowa wdzięczności za rozprawienie życiowych trosk, za pomoc w zdobyciu lekarstw, za uratowanie życia. Nigdy Iwaszkiewicz o świadczonej ludziom pomocy nie mówił publicznie, cała o tym wiedza ukryta jest w listach. A zarazem na podstawie innych listów można by ułożyć długi rejestr grzechów autora *Zygryda*. We współwystępowaniu w ludzkim charakterze zalet i wad nie ma rzecz jasna niczego niezwykłego; tu zdumiewa liczba oraz ranga sprzeczności – jakby kodeks etyczny Iwaszkiewicza odbiegał od powszechnie przyjętego, a wyznawana przezeń religia pochodziła z innej epoki lub z innego miejsca.

Z braku lepszych terminów, określiłbym ją mianem religii życia. To najstarsza religia świata, a w jej zrozumieniu pomocny będzie Karl Kerényi, który na pierwszych stronach swego klasycznego dzieła *Dionizos* wprowadza istotne rozróżnienie między znaczeniem greckich słów *zoe* i *bios*. To pierwsze dawni Grecy rozumieli jako życie w ogóle, niemające początku i końca, wieczne; drugie oznacza życie określone, poszczególne, skończone. *Zoe* jest życiem niepoddającym się żadnej charakterystyce, *bios* stanowi jednostkowy przejaw *zoe*. Śmierć (*thanatos*) jest przeciwieństwem *zoe*, określonemu *bios* przypisany jest określony, jemu właściwy zgon. Pierwotnym kultem otaczano oczywiście tajemnicze *zoe*, manifestujące się poprzez niezliczone życia jednostkowe – zarówno w świecie zwierzęcym, jak i ludzkim. Z punktu widzenia życia w znaczeniu *zoe* dobre jest wszystko, co służy życiu w ogóle, co je pomnaża i rozprzestrzenia, toteż ludzka moralność, zwłaszcza ta obejmująca sferę miłości fizycznej, często stanowi „wolę zaprzeczenia życia”, „tajny instynkt zniszczenia” – jak pisał Nietzsche w *Narodzinach tragedii*. *Zoe* bytuje w innej sferze etycznej aniżeli *bios*, bywa, że obie te sfery etyczne stają się wobec siebie antynomiczne: co służy życiu w ogóle, nie zawsze służy jednostce lub jakiegś zbiorowości.

Tak jak inne archetypy, tak i *zoe* doczekało się swego mitu, który opowiada o tajemnicy życia i tłumaczy ją w sposób nie dyskursywny, lecz obrazowy. Główną postacią tego mitu, jego bohaterem jest Dionizos. Mit dionizyjski jest zatem „ucywilizowanym” mitem życia, a związana z tym mitem religia dionizyjska stanowi ujętą w ramy kultury starogreckiej religię życia. Dionizos – jako upostaciowany archetyp życia niezniszczalnego – mieści w sobie wszelkie antynomie: jest jednocześnie bogiem radości i rozpacz, narodzin i śmierci, aprobaty życia i ucieczki przed nim w „sztuczne raje”. Mieści w sobie pełnię.

Zasługuje na uwagę, że tak jak *zoe* jest bezosobowe, stanowi bowiem czystą energię, zasadę życia, tak Dionizos nie posiada własnego oblicza,

ma zawsze maskę, pod którą kryją się niezliczone twarze, pyski, łby, dzioby i ryje wszystkich poszczególnych stworzeń. Jest niejako „rozszarpany” na wszystkie żywe stworzenia, jest każdym z nich, samemu będąc nieokreślonym.

Trudno precyzyjnie wskazać czas, kiedy Iwaszkiewicz poznał i przywoił sobie mit dionizyjski. Bez wątpienia stało się to jeszcze na Ukrainie, przed przyjazdem do Warszawy jesienią 1918 roku. Nie ulega też wątpiwości, że ważną rolę we wtajemniczeniu młodego poety w tematykę i symbolikę dionizyjską odegrał Karol Szymanowski, który w czerwcu 1918 roku zaproponował swemu kuzynowi napisanie libretta do opery *Król Roger*. By przygotować go do tego zadania i przybliżyć mu ideę planowanego dzieła, kompozytor podsuwał Iwaszkiewiczowi do lektury *Bachantki* Eurypidesa, *Narodziny tragedii* Nietzschego, *Współżawodników chrześcijaństwa* Tadeusza Zielińskiego, *Dionizego z Auxerre* Waltera Patera, *Kłótwę* Wyspiańskiego, pamiętniki Benvenuto Celliniego. Najważniejsze były jednak rozmowy o *Królu Rogerze*, o przesłaniu tego utworu. „Filozofia *Króla Rogera* – pisze Iwaszkiewicz w *Spotkaniach z Szymanowskim* – jest dość prosta. Oparta ona jest na pewnej scenie z *Bachantek* Eurypidesa, a właściwie mówiąc, na interpretacji tej sceny u profesora Zielińskiego [...]. Mianowicie w scenie Penteusza z przebranyim Dionizosem Zieliński zauważa zmysłowe podniecenie, które Penteusza ciągnie na święto bachantek, mimo iż pozornie sprzeciwia się on kultowi Dionizosa i dionizyjskiemu upojeniu. Dionizos malując mu sen upojonych bachantek świadomie podnieca upartego króla i tym samym wciąga go w zasadzkę. Otóż to podniecenie zmysłowe i niezdrowa ciekawość Penteusza znajduje swoje echo w zmysłowej ciekawości Rogera, która ogarnia go we wszystkich spotkaniach z tajemniczym pasterzem. Religia pasterza, religia dionizyjskiego upojenia działa na Rogera, jak na Penteusza, jedynie zmysłowo i dlatego Roger, pomimo iż idzie za pasterzem i dochodzi aż na scenę teatru antyczne-

go, pozostaje w ostatniej scenie dramatu sam, z rozdźwiękiem w duszy. Dionizos porzuca go. Zostawia go samotnego jak dawniej, z Edrisim i Roxaną, z mądrością i miłością. Ale Roger staje się innym Rogerem [...]. Poznanie prawd kultu Dionizosa przemieniło Rogera wewnętrznie”. Tak samo poznanie prawd kultu Dionizosa przemieniło Jarosława Iwaszkiewicza, który czerwcowe dni 1918 roku w Elizawetgradzie, spędzone na omawianiu treści *Króla Rogera* i na wgłębianiu się w mit dionizyjski, nazwał „prawdziwą epoką” w jego życiu. Należy przy tym zauważyć, że ostateczna forma libretta *Króla Rogera* stanowi kompromis między wersją proponowaną przez Iwaszkiewicza a zamysłem Szymanowskiego. U Iwaszkiewicza król Roger nie tylko poznawał Dionizosa w pasterzu, ale szedł za nim w mrok, rzucał się w odmet dionizyjskiego żywiołu, porzucając dla niego wszystko. Ta różnica nie jest drobna, to tak, jakby zestawić zmysłowe podniecenie z szaleńczą orgią.

Trafnie zauważył Jerzy Kwiatkowski w książce *Poezja Jarosława Iwaszkiewicza na tle dwudziestolecia międzywojennego*: „«Dionizyjskość» Iwaszkiewicza opiera się na niemałej erudycji i świadczy o bardzo osobistym przeżyciu mitu, mitu, który u wielu współczesnych poetów stanowił symbol dość ogólnikowy, traktowany nieco powierzchownie”. „Osobiste przeżycie mitu” oznacza tu taką formę doświadczania świata, która bliska jest utożsamieniu się z postacią mityczną. Najsilniej to przeżycie uwidoczniło się w tomie poetyckim *Dionizje* z 1922 roku. Warto dodać, że Iwaszkiewicz w latach dwudziestych przyjął pseudonim literacki „Eleuter” i okazjonalnie używał go także po wojnie, choćby w „Listach do Felicji” – cyklu felietonów ogłaszanych na łamach „Nowin Literackich” – podpisywanych tym pseudonimem. Eleuter (od Eleuthereus) to jeden z przydomków Dionizosa, znaczący tyle co Wyzwoliciel, Wybawiciel – między innymi od ciasnych ram pojedynczej osobowości. Tak rozumianemu wyzwoleniu służy to wszystko, co niweczy zasadę indywidualacji, co unicestwia jednostkową świadomość i składa ją na ołtarzu

nieświadomego siebie życia. Zatraceniu służą narkotyki, alkohol, orgiastyczny seks, sztuka i wszelka transgresja.

W przypadku Iwaszkiewicza „osobiste przeżycie mitu” nie przyjęło formy szaleńczego utożsamienia się z Dionizosem, co – jak wiadomo – przytrafiło się Nietzsche. Polskiego pisarza przed osunięciem się w obłąd uchroniła być może twórczość literacka, dzięki której mógł się rozmnożyć na wszystkie postacie, które występują w jego powieściach, dramatach i nowelach. Ponadto wchodzi w rachubę swoiste rozbicie antycznego pramitu dionizyjskiego na dwa mity Europy nowożytnej, stanowiące niejako węższe realizacje owego pramitu, mieszczące się w owym pramicie jako jego pokrewne sobie warianty, obydwie wyposażone w element jasnej świadomości: mit faustyczny i mit związany z postacią Don Juana. Nie było to tajemnicą dla Iwaszkiewicza, który w późnym wierszu *Biografia* z tomu *Muzyka wieczorem* pisał:

Przyśniłeś mi się jeszcze tam na stepie,
Gdy księżyc nad kurhanem wschodził różowym ciałem,
Widziałem cię w mieście, na ulicy, w sklepie,
W przejrzystej wodzie ciebie widziałem.

Szedłeś za mną przez całe moje długie życie,
Słyszałem wciąż za sobą uparte stąpanie.
Nie wiedziałem, że ciągle żyjesz ze mną skrycie,
Hamlecie, młody Fauście, stary Don Juanie.

Obecność Hamleta nie powinna dziwić nikogo, kto zna *Narodziny tragedii*: „Człowiek dionizyjski – powiada Nietzsche – podobny jest do Hamleta: obaj spojrzeli raz prawdziwie w istotę rzeczy, poznali i wstręt im działać; bo działanie ich nie może nic zmienić w wiecznej istocie rzeczy”. Tę istotę stanowi Dionizos rozszarpany na kawałki, nieznisz-

czalne życie rozszczerzone na podlegające rujnacji indywidua. Można zniszczyć indywiduum, zetrzeć na proch jakiś kawałek, ale nie można powstrzymać obowiązywania *principium individuationis*, wedle której to zasady w miejsce jednego unicestwionego indywiduum pojawia się nowe, podobne do poprzedniego. Sam Iwaszkiewicz w liście do Lisowskiego z 27 stycznia 1959 roku odwołuje się do tego prawa, myśląc o swoim umierającym przyjacielu Jerzym Błeszyńskim: „Jakoś mi pusto w sercu i w głowie. Mój towarzysz podróży to umiera, to tańczy, męczy mnie to bardzo, ale bardzo wiąże z życiem – poprzez ból istnienia, *principium individuationis*, *weltschmerz* i jak to się tam jeszcze ten lęk metafizyczny nazywa”. Przed Jerzym Błeszyńskim był Jerzy Lisowski, a wcześniej między innymi Jerzy Mikułko-Makłaj. Po nich byli inni, a każdy miał podobną rolę do odegrania: służyć młodzieńczą energią, dawać powód do pisania.

Wszystkie trzy wskazane mity – Dionizosa, Fausta i Don Juana – to niemiłosierny los, a prosta struktura tego losu przypomina tory kolejowe, toteż wymaganie od Iwaszkiewicza, by żył inaczej, niżli żył, jest równoznaczne z żądaniem, by pociąg jechał inną drogą, niż wiodą tory.

Mit dionizyjski tłumaczy nie tylko związek Iwaszkiewicza i Lisowskiego – czy w ogóle stosunki Iwaszkiewicza z ludźmi – rzuca też światło na drażliwą kwestię polityczną. Jak niemal każda korespondencja Iwaszkiewicza, tak i ta dostarczy oponentom pisarza obfitego materiału do stawiania zarzutów o zbyt daleko posuniętą akceptację powojennego *status quo*. Iwaszkiewicz w gruncie rzeczy był apolityczny, a ideologiczny. Żywił przeświadczenie, że to, co ludzi dzieli w dziedzinie poglądów, jest nieistotne, a ważne jest to, co ludzi łączy w sferze życia: miłość, praca, cierpienie, choroby, śmierć. Etykę łączył ze sferą życia. Ideologia była dlań amoralna, historia, rozumiana jako następstwo zdarzeń politycznych, stanowiła domenę zła, bo skażona jest jednostkową, egoistyczną wolą mocy.

Gdy Iwaszkiewicz wprowadził się na Stawisko w październiku 1928 roku, dom był już urządzony przez jego teścia Stanisława Wilhelma Lilpopa. Pierwszy rzut oka na łóżko w sypialni sprawił zapewne pocie przykrość: jemu, mierzącemu 186 centymetrów wzrostu, proponowano spanie w łóżeczku – bo nie w łożu – małżeńskim. Ktoś inny wymieniłby łóżko, nie oglądając się na teścia, tym bardziej że Lilpop zmarł śmiercią samobójczą w 1930 roku. Iwaszkiewicz zaś co noc układał u wezgłowia stos poduszek i sypiał pół siedząc, pół leżąc, aż wytarł głową drewniane oparcie łóżka. Czy ktoś, kto dopasowuje się do krótkiego łóżka we własnej sypialni, podejmie się zmiany ładu politycznego? Czy ktoś, kto afirmuje wszystko, co niesie szeroki strumień życia, a znalazłszy się w wielkich opałach, mawia: „To życie! To lubię!” – odrzuci rzeczywistość polityczną, jakakolwiek by ona była? Ułoży się w niej tak, by nikomu nie być zawadą.

„Co to za człowiek?” – pytał zdumiony Kazimierz Brandys i sam sobie odpowiadał: „Pan Bóg wie, dlaczego Iwaszkiewicz jest utalentowany i co się za tym kryje”.

1. [JERZY LISOWSKI DO JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA]

Zielona Góra, dn. 25 IX 47

Wielce Czcigodny M i s t r z u!!!!

Ponieważ za niespełna trzy tygodnie będę już gościł we Francji¹, a od Pana jeszcze nic nie otrzymałem, przypominam, że najchętniej załatwię Panu wszystko, co tylko będę mógł, innymi słowy wszystko, co trzeba będzie załatwić w Paryżu.

Czy wyjazd Pański do Francji jest już zapowiedziany, czy też sprawa ciągle tkwi na martwym punkcie?

Gdyby się Pan dowiedział o swym wyjeździe później dopiero, a potrzebował teren we Francji przygotować, to wystarczy napisać na adres:

J. Lisowski
204, rue du Fg de Roubaix
à Lille (Nord),

a ja już postaram się wywiązać należycie z zadania. Wyjeżdżam prawdopodobnie 6 X z Zielonej Góry, do Krakowa i Katowic, a stamtąd 9 X do Paryża.

Ostatnim moim adresem w Polsce, na który mnie dojdzie jeszcze korespondencja, będzie:

J.L. u Dz. Wróbla
Chorzów III, ul. Bożogrobców 2.

Tam ew. może Pan napisać, gdyby coś się przypomniało w ostatniej chwili. Proszę więc bardzo serdecznie nie krępować się bynajmniej, bo z przyjemnością się tym wszystkim zajmę.

Pozwalam sobie jednocześnie z tym listem wysłać Panu przesyłką poleconą fragment III aktu *Much*², który według mnie może bardziej nadaje się do druku w „Nowinach”³.

Poprzedziłem tę rzecz małym wstępem, jakby wprowadzeniem do sztuki.

Naturalnie to wszystko do uznania Pana. Nie wiem, czy nadaje się to do druku w „Nowinach”, Pan zdecyduje.

Co do całości, postaram się dać ją Panu we Francji, jeśli Pan do nas zawita, albo przyślę ją z Francji Leszkowi⁴, który ją u Pana złoży.

Przepraszam jeszcze raz za moje bezceremonialne obarczanie Pana tytuł kłopotami i dziękuję z góry, prosząc jednocześnie o niezapominanie o mnie i dysponowanie mną według potrzeby.

Kończąc, zaszyłam wyrazy serdecznej i pełnej szacunku przyjaźni, szczerze oddany

Jerzy Lisowski

PS Przepraszam najmocniej za papier, ale innego w tej zas... dziurze znaleźć nie można.

2. [JAROSŁAW IWASZKIEWICZ DO JERZEGO LISOWSKIEGO]

Warszawa, dn. 16 X 1947

Drogi Panie!

Będę w Paryżu od 22 bm. do 28-go. Czy nie mógłby Pan w tym czasie przyjechać?

Mój adres będzie: 33 Bld de Reuilly chez mr Bobkowski⁵ (XIIe).

Jarosław Iwaszkiewicz

[Na papierze listowym „Nowin Literackich”, Warszawa, ul. Marszałkowska 8 m. 14; na kopercie adres: Francja, Mr Georges Lisowski, Lille, 204 rue du Faubourg de Roubaix]

3. [JAROSŁAW IWASZKIEWICZ DO JERZEGO LISOWSKIEGO]

Praga, 31 X 47

Drogi, drogi Jerzy!

Bardzo Cię przepraszam za krzyżyk nakreślony na twym czole na Gare de l'Est⁶, ale mam zwyczaj obejmować tym gestem ludzi specjalnie mi drogich i związanych ze mną specjalnie mocną nicią. Ja wiem, ty tego

nie lubisz, jak nie lubisz chodzenia z kwiatami, pisanie czułych listów i w ogóle wszelkiego uzewnętrzniania uczuć. Trudno, a ja już jestem stary, często się rozklejam i robię takie rzeczy, których wy młodzi nie lubicie. Siedzę w Pradze⁷, nudzę się jak pies w studni i przenoszę się myślą bez przerwy do Paryża. Proponują mi czeskie papierosy, mówiąc, że są lepsze od francuskich, ale ja zapalam gauloise'y i dym ich tak od razu przenosi mnie na Bld St. Michel lub na ten most z Châtelet do Cité, gdzie doznałem nagle olśnienia szczęścia, rzecz prawie nieprawdopodobna w tych czasach – i w ogóle, ponieważ w szczęście nie wierzę! Ale miałem taki faustowski moment, wtedy, kiedy powiedziałem do Ciebie: patrz, czyż to nie impresjoniści! I nagle chciałem zawołać „*verweile*”⁸ – chwila była tak krótka, a tak zupełnie niezapomniana. Miałem wrażenie, że już nie będę przeżywał takich momentów jak te dnie paryskie, że już pokryłem się warstwą starości tak głęboką, że nic już jej nie przeniknie – a tymczasem intensywność tych dni paryskich była prawie młodzieńcza, tylko że okraszona wielką, spokojną już dojrzałością. W niedzielę, w dzień twojego przyjazdu, stanąłem o zmroku przed katedrą N[otre] Dame i stałem długą chwilę z uczuciem kulminacji, dojrzałości, powagi tak bardzo mocnym, że mi dech w piersiach zapało. Cóż to były za dni – a takie z pozoru, zewnętrznie, zwyczajnie proste. Parę rozmów, teatr, spacer, kupowanie chusteczek! Niestety w życiu za wszystko się płaci, wyobrażam sobie ten splot przykrości, kłopotów i złych interesów, jaki zastanę w domu. Ale to nic nie szkodzi, bo mam wrażenie, że przywożę z sobą z Paryża moc sił, nowych sił. Daj Boże, aby tak było. Drogę miałem kiepską, obiad – tak miło zamówiony przez Ciebie w wagonie restauracyjnym – był ohydny, nawet wino wstrętne i nawet owoce zmurszałe – a kosztował w sumie około 500 fr. Jechałem z jakimś Rumunem i małżeństwem czesko-angielskim, biedną babcię życzliwą wysadzili na granicy, bo nie miała wizy alianckiej, i tak się tam jakoś jechało, dużo spałem i miałem sny pomieszane o tobie, o *Procesie* Kafki i o królu duńskim⁹. Widzisz, jaki galimatias. Dziś był przenudny